

Prolog

Kiedy mnie bił, czułam w ustach krew. Była lepka i smakowała jak stary klucz. Każde uderzenie przypominało nagły podmuch wiatru, który gwałtownie odwraca głowę, tak że aż szczękają zęby. Czasami któryś z nich wypadał i odnajdowałam go w ustach. Ile trwało to bicie i kopanie? Kilka chwil. Potem w moim ciele wzbierała milcząca wściekłość. Pragnęłam krzyczeć, uciec, stać się kimś innym, bohaterką jakiegoś zabawnego filmu, zamieszkać u porządnej rodziny, która by mnie wzięła do siebie. Zamienić się w bezpańskiego kota, złotą rybkę, kwiatek, kamień. Albo jeszcze lepiej: w mrówkę.

Bo mrówki są niezłomne w dążeniu do celu: biorą jakiś okruszek – czegokolwiek – i go niosą. Bez względu na wszystko. Nic ich nie zatrzyma. Możesz rozdeptać jedną, lecz pozostałe się nie przelekają. Zmieniają trasę i ruszą dalej.

Mrówki się nie boją.

Chciałam być mrówką.

Monte Amiata GRUDZIEŃ 1913

Margherita wpadła do domu, wydychając z płuc zimne powietrze. Podeszła do lichej kuchenki i roznieciła ogień.

– Wróciłaś – powiedziała matka swoim zwykłym, oschłym tonem. Nawet nie spojrzała na Margheritę. – Nie powinnaś wychodzić. Nie masz za grosz wstydu?

Miała, aż nadto. Czuła na sobie wzrok całego miasteczka. „Dziwka” – mówili, a słowa wnikały w krew, która żywiła jej brzuch. Dziecko już było gotowe. Czuła to, gdy się obmywała w waniencie, w której w ostatnich tygodniach z ledwością mogła usiąść. Obmacywała swoje ciało i przyciskając palce, dotykała główki. Nie mogła się doczekać, kiedy maleństwo przyjdzie na świat. Miała nadzieję, że gdy ojciec je zobaczy, wróci do niej.

– Odsuń się – warknęła matka, po czym siadła na swoim miejscu obok pieca w taki sposób, żeby jej broń Boże nie dotknąć. Nigdy jej nie dotykała, nawet gdy Margherita była dzieckiem.

Dziewczyna z uporem szukała najstarszych wspomnień, mocno masując palcami skronie, tak jak to kazała im robić nauczycielka, pani Clelia, kiedy czegoś nie mogli sobie przypomnieć, ale nie potrafiła znaleźć niczego, choćby jednego uścisku. Jej ciało, póki nie spotkała Raimonda, nie zaznało przyjemności kontaktu z innym ciałem.

Margherita zajmowała się końmi w stajni. Wśród różnych obowiązków ten jeden nie był ciężarem. Zakochała się w karym ogierze pełnej krwi. Z czasem właściciel pozwolił jej na nim jeździć, a robiła to pięknie. Po oporządzeniu konia wychodziła ze stajni zawsze zgrzana, w skotłowanych spódnicach i mokrych od potu pantalonach, a czarne kręcone włosy opadały na jej bladą twarz.

I właśnie taką zobaczył ją Raimondo. Patrzyła na niego wyzywająco, a on bez słowa przygłądził kosmyki, które wysunęły się z jej warkocza. Nie odrywał od niej oczu, ale w jego spojrzeniu nie było pożądliwości, którą zwykle widywała u mężczyzn oglądających się za nią na ulicy. Miał przyjemny, spokojny oddech.

Raimondo był jedynym synem bogatej, szanowanej rodziny i zawsze dostawał to, czego zapragnął. A Margherita nie znalazła żadnego powodu, by się opierać. Na pustym,

jasnozielonym polu niedaleko stajni, gdzie się spotykali, galopowała tak, że matka na jej widok z pewnością wpadłaby w furję.

Teraz to wszystko zniknęło. Nie było już słodkich pocałunków ani długich pieszczot, które stawały się coraz bardziej namiętne, aż do stłumionego w gardle krzyku. Teraz była tylko ona, ostatnia z rodzeństwa – trzech sióstr i jednego brata. Ona i dziecko, które urodzi się lada dzień. W oczach przygarbionego ojca dostrzegła wstyd i ból. I chyba łzy.

– Co się stało? – spytała.

– Wyjdź – odpowiedziała jej matka.

– Idź, Margherito – powtórzył ojciec.

Ale ona się nie ruszyła.

– Dlaczego jej tego nie powiesz? Powiedz tej suce, że to jej wina! – Matka pluła jej w twarz obelgami.

Margherita przycisnęła obie dłonie do brzucha.

– Powiedz jej, przez co musimy przechodzić! Suka, suka, suka! – Z głosu matki biła lodowata pogarda. Pchnęła Margheritę w stronę drzwi.

– Byłem u rodziców Raimonda – zaczął ojciec, spoglądając na córkę z bezbrzeżnym bólem. – Stary wykrzyczał mi w twarz, że jego syn nie ma z tym nic wspólnego. Powiedział, że dziewczyna, która pozwala na to jednemu, może pozwolić wszystkim. Rozeźliłem się, chciałem, żeby Raimondo zszedł na dół i przyznał, że byłaś nietknięta, że dziecko naprawdę jest jego. On mi na to, że jego syn jest dziedzicem największej fortuny w okolicy i że nie pozwoli mu poślubić córki nędzarza. Tak właśnie powiedział: „Puszczalskiej córki nędzarza”. Co do słowa. – Mężczyzna ukrył twarz w wielkich dłoniach i się rozpłakał.

Margherita opadła przy nim na kolana, obejmując mu nogi, lecz matka podniosła ją z zaskakującą łatwością.

– Zostaw nas w spokoju, zniszczyłaś rodzinę i tylko dziękować Bogu, że twój brat jest w Libii, inaczej zrobiłbyś jakieś głupstwo. A teraz wynocha stąd!

Od tego momentu Margherita każdego dnia przeklinała los, który zostawił Raimonda w domu, zamiast rzucić go na libijski front. Przeklinała też siebie za ślepotę i za wiarę w tę absolutną miłość, która na kartach kilku przeczytanych powieści zdawała się nie mieć końca ni granic. I przeklinała swoje nastoletnie życie: za dwa miesiące skończy szesnaście lat, a dziecko w jej łonie nie ma ojca.

Cusa PAŹDZIERNIK 1969

W trzeciej klasie podstawówki byłam drobniutką dziewczynką, niewiele kilogramów zwieńczonych szopą blond włosów. Wyglądałam na jeszcze młodszą niż w rzeczywistości, ale zachowywałam się już jak dorosła. Cierpiałam na perfekcjonizm, który odzwierciedlał moje pojmowanie miłości. Chciałam być kochaną, więc nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą niedoskonałość, bo i tak wiele złych rzeczy działo się z mojej winy.

Nasza rodzina składała się z pięciu osób: czterech kobiet i mężczyzny. Z kobiet ja byłam najmłodsza, a babcia najstarsza. Oprócz nas były jeszcze moja starsza siostra Lara i mama.

Po wojnie babcia, frontowa wdowa z dziesięcioletnią córką, znalazła pracę jako ekspedientka w pierwszym w okolicy supermarkecie. Sama wychowała moją matkę, piękną i wesołą dziewczynę, z zielonymi jak u kota oczami i cudownymi ustami, wręcz stworzonymi do śmiechu i całowania. W wieku szesnastu lat mama zaręczyła się z przystojnym, starszym od niej chłopakiem, który w marynarskim stroju wyglądał jak Tyrone Power. Pewnie myślała wtedy, że będzie ją chronił i kochał do końca życia, jak w filmie.

Marynarz zgodził się dla niej opuścić wioskę rybacką, w której się urodził, i przenieść się do Cusy, nad obrzydliwe, cuchnące bagno, gdzie dostawał tylko najpodlejsze prace, upokarzające dla takiego bystrego faceta. Jeśli w ogóle jakieś znajdował. Zawsze mówił, że poświęcił się dla nas. Że wie, że to nędzne życie, bo nas kocha.

Kiedy Go nie było, grałyśmy w grę, która polegała na udawaniu, że wszystko układa się doskonale. Przynajmniej tak to rozumiałam.

Mama umiała to robić najlepiej. Udajemy, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przez lata sprzedawała ten obraz przyjaciołom, rodzinie, znajomym.

W moich wspomnieniach z dzieciństwa zawsze się uśmiecha i kupuje mi piękne ubrania.

Nasze dni charakteryzowały się stałym, kojącym podziałem zadań: mama i babcia zajmowały się zakupami, gotowaniem, praniem, prasowaniem, wycinaniem kuponów rabatowych z gazet, dbaniem o przyjazne relacje z sąsiadami i pilnowaniem mnie i mojej siostry. My miałyśmy się uczyć, utrzymywać w porządku nasze rzeczy i być grzeczne. Przede wszystkim: być grzeczne. Bo był On. On, który szedł do pracy. On, który wracał zły. I wściekał się, bo była brzydka pogoda, bo jakiś skurwysyn źle się do niego odniósł, bo taje banasuka w kasie sklepowej, niechjaszlag, zmarnowała jego czas, bo jakiś gnój zajechał mu drogę samochodem. Wystarczył drobiazg, by stracił cierpliwość. A kiedy wracał do domu, nie miał już tej cierpliwości za grosz.

Nasza rutyna pryskała jak mydlana bańka. Z Nim przychodził strach – bestia, która nagle zajmowała cały dom, prześladowała nas, wielkimi stopami rozdeptywała wszystko na swojej drodze. Cała nasza czwórka trwała w niepewności. On szedł jeszcze po schodach, a nas już ścisnął za gardła lęk. Patrzyłyśmy na siebie i zadawałyśmy sobie nieme pytanie: „W jakim będzie humorze? Czy znów ktoś Go rozzłościł?”. Dygotałyśmy jak liście na wietrze, czekające, aż je zerwie silniejszy podmuch.

Kiedy tylko zamykał za sobą drzwi, zaczynał kłąć. A jeśli któraś z nas znalazła się na Jego drodze, rozdawał ciosy, popychał nas, kopał. Najzabawniejsze było to, że nie miałyśmy bladego pojęcia, dlaczego nas maltretuje. Tak, to musiało być zabawne, bo po wszystkim mama i babcia uśmiechały się do mnie i mojej siostry i od nowa zaczynałyśmy grę w udawanie. Mówiły: „Zobaczmy, czy wszystko macie włożone do tornistrów”. Albo: „W co się jutro ubierzemy?”.

Przed snem babcia dawała nam cukierki rossana, bo „szczypta słodczy przepędza łyżkę goryczy”, a potem opowiadała nam historie o wrózkach i zaczarowanych zamkach. Mama uśmiechała się, szczotkowała mi włosy, przykrywała mnie starannie i śpiewała kołysanki. Tylko Lara nigdy się nie śmiała. Siedziała sztywno na łóżku, drapiąc krosty na twarzy. Była sześć lat starsza ode mnie i uważała mnie za zbyt słodką, nieznośnie grzeczną dziewczynkę. Kiedy napotykałam jej wzrok, odpowiadała mi czystą pogardą, a ja się uśmiechałam. To stanowiło część gry.

Sądziłam, że wszystkie dzieci z mojej szkoły mają takie życie jak ja: wściekającego się ojca, dobrą matkę i opryskliwą siostrę. To ja byłam tą dobrą. Na tym polegała moja rola: być

najlepszą. Gdybym była wystarczająco grzeczna, wtedy On przekonałby się, jakie spotkało Go szczęście, że ma taką rodzinę jak nasza. Wracałby do domu uśmiechnięty, pogodzony ze światem i z nami. Nie musiałybyśmy już dłużej udawać. To byłby prawdziwy raj.

Monte Amiata STYCZEŃ 1914

Zima była mroźna. Lodowaty chłód sprawiał, że ludzie sztywnieli jak na widok wściekle ujadającego psa. Kobiety piorące na dworze zakładały ciężkie, czarne wełniane chusty, lecz do domów wracały z odmrożonymi rękoma.

Mały Amelio rósł z każdym dniem. Był cichy i grzeczny, a jego poważne oczy wpatrywały się w Margheritę w taki sposób, jakby potrafił odczytać jej myśli, co wzbudzało w dziewczynie niepokój.

Od jego narodzin matka nie wyrzekła do niej ani jednego słowa, siostra odpowiadała monosylabami, a jej samej zakazano wychodzenia z domu.

Margherita czuła, że się dusi za murem ciszy, który zdawał się gorszy od najgorszych słów. Tylko ojciec czasami podchodził i głaskał małego, ale on też z nią nie rozmawiał. Amelio był jej jedynym światłem w życiu, jedynym powodem, który powstrzymywał ją przed ucieczką – najdalej, jak tylko się da. Do Ameryki. Zdawała sobie sprawę, że w takiej podróży można zginąć, ale też wiedziała, że każdy, kto tam dotrze, wygrywa. Chłopak, który raz w tygodniu przychodził rąbać drewno, opowiedział jej o swoim wuju – a może kuzynie – który opuścił Genuę na statku o wdzięcznej nazwie Taormina. Był jednym z dwóch i pół tysiąca szczęśliwców, którzy kupili bilet trzeciej klasy. Jednak na tym bilecie wszystkie jej marzenia się kończyły: kosztował osiemset lirów, tyle co sześć pensji mężczyzny.

Przez cały miesiąc Margherita walczyła z paskudną gorączką, przez którą nawet dziecko było jej obojętne. Lekarz wyraził się bardzo jasno:

– Niech córka wychodzi trochę z domu. Albo wyjdzie na dwór, albo umrze.

Na lamenty matki odpowiedział spokojnie:

– Co chcecie przez to osiągnąć? Pozwolicie jej umrzeć, ponieważ boicie się wstydu? Myślicie, że ludzie nie wiedzą, że Margherita urodziła? Jeśli chcą gadać, to niech gadają.

– Dziękuję, panie doktorze – odpowiedział ojciec. – Weźmiemy pana słowa pod rozwagę.

Tak oto Margherita została wysłana do kucharzenia w wielkim domu siedemdziesięcioletniego don Salvatore, podwójnego wdowca. Ów bezdzietny Sycylijczyk był zgorzkniałym, skąpym i aroganckim starcem, i kobiety krótko wytrzymywały u niego na służbie. Wytrwała tylko Quintilia, ale mając sześćdziesiąt lat, nie mogła już sama zajmować się domem. Margherita widziała don Salvatore kilka razy w miejscowym kościełku, zawsze ubranego zbyt elegancko. Był niski i krępy, z dużą łysiną i zajęczą wargą. Jego usta, już i tak oszpecone przez naturę, przytłaczała wielka narośl, czarna i nabrzmiąta tak, jakby w każdej chwili mogła odpaść. „Zerwałabym to” – pomyślała kiedyś Margherita. „Gdybym miała coś tak straszego, oderwałabym to, choćbym musiała to odciąć nożem”.

Dziewczyna nigdy wcześniej nie była w domu z tak wysokimi sufitami, ze ścianami, na których namalowano anioły o błogich twarzach, z ogromną kuchnią. Od pierwszego dnia zachłannie wpatrywała się w to bogactwo. Widząc jej zachwyty, Quintilia powtarzała w kółko to samo:

– Zachowuj się grzecznie, nie patrz na twarz pana, nie odzywaj się, kiwaj głową, nie zbliżaj się i chodź z opuszczoną głową, zrozumiałaś? I nie myśl za dużo, dziewczyno. Jesteś tu pod moją opieką i jak tylko coś zrobisz nie tak, odchodzisz, jasne?

Margherita kiwała z roztargnieniem głową, ale była przekonana, że tej zgorzkniałej, irytującej jak komar baby równie łatwo jak komara zdoła się pozbyć.

Cusa KWIECIEŃ 1970

Moi rodzice niedawno otworzyli bar, w którym latem urabiali się po łokcie, a zimą mieli tak mało roboty, że nie warto go było otwierać. On zawsze czuł presję, a wina była nasza, do kurwy nędzy, i lepiej byłoby, gdybyśmy się nigdy nie urodziły, niechby Bóg walnął w nas piorunem, i to już. Mówił tak, bo czuł, że Jego zacisk zaczyna puszczać.

Twierdził, że ma taki zacisk w mózgu i niech Bóg broni, żeby się poluzował. Albo, co gorsza, puścił. Ta absurdałna historia z zaciskiem w roli głównej była ścieżką dźwiękową naszego życia.

Wiosną, gdy chodziłam do piątej klasy, On był cały czas rozdrażniony. Powtarzał, że wszystko jest na Jego głowie i tyle ma do zrobienia, a my tylko pętamy Mu się koło dupy, gdy On musi pracować.

I pewnego dnia zacisk puścił. Podczas kolacji. W naszym domu nikt nie odzywał się przy jedzeniu; ponieważ On nie chciał słyszeć, jak rozmawiamy, posiłki odbywały się w tak gęstej atmosferze, że nawet oddychaliśmy całkiem bezgłośnie. Tamtego dnia jednak nagle ryknął i ściągnął obrus. Na podłogę zleciały kieliszki, talerze, sztucce, butelka z winem się przewróciła i czerwona plama rozlała się w mgnieniu oka na białym płótnie. Lara podskoczyła, babci wyrwało się „O Boże!”, a mama krzyknęła – cichutko, żeby nie pogorszyć sytuacji i żeby, nie daj Boże, sąsiedzi nie usłyszeli. Siedziałam obok Niego i nie rozumiałam, dlaczego jest taki zły. A był, i to strasznie. Dlatego popełniłam błąd i spytałam:

– Tatku, co się stało?

Nie zdążyłam dodać nic więcej.

– Kto pozwolił ci się, kurwa, odezwać, co? Głupiakretynka!

Uderzył mnie pięścią w brzuch, potem otwartą dłońią w lewy policzek, w to oko, w które dostawałam najczęściej. Gdy spałam z krzesła, matka podbiegła mnie przytulić.

Myślałam, że nigdy już nie złapię oddechu. Brakowało mi powietrza, nie mogłam wypełnić nim płuc i poruszałam ustami jak umierająca ryba. On ciągle powtarzał, że nie powinnam się była odzywać.

– Ciągłe się do mnie lepicie! Ciągłe! – wrzeszczał.

Widziałam, jak moja siostra płacze, słyszałam, jak mama i babcia krzyczą. To się nie działo naprawdę. Byłam grzeczną, najlepszą na świecie dziewczynką. Byłam prawie doskonała. To się nie mogło przytrafić mnie. Nie mnie!

– Wynoście się stąd, głupie kurwy, albo jak Boga kocham, przysięgam, że was pozabijam!

Mama pomogła mi się podnieść i zamknęłyśmy się w pokoju babci, który zawsze był naszym schronieniem, bo miał bezpośrednie wyjście na zewnątrz. Nie miał za to łazienki.

– Wszystko będzie dobrze, zaraz mu przejdzie.

Mama zawsze to powtarzała, przede wszystkim po to, aby przekonać samą siebie. Głaskała mnie po włosach, a Lara patrzyła na to z zazdrością.

– Chcę siku – powiedziała w końcu, zaciskając uda i przestępując z nogi na nogę.

– Ja też muszę – szepnęłam z ręką przyciśniętą do pulsującego bólem oka.

– Musisz wytrzymać. Obie musicie. Bądźcie dzielne.

Zazwyczaj zasypialiśmy ze zmęczenia, z uciskiem na pęcherz, przy akompaniamencie rozbijanych sprzętów. Wsłuchując się w dźwięki tłuczonego szkła i rozdzieranego materiału, próbowaliśmy odgadnąć, co tym razem na zawsze tracimy.

– To dzbanek, ten z niebieskiego kryształu!

– Nie, to musi być prowansalski abażur.

– Teraz fotel z dzierganą poduszką.

Jakbyśmy grały na loterii, tylko zamiast wygranej były zniszczenia. Gdy tak traciłyśmy kolejną część siebie, noc mijała, by ustąpić miejsca kolejnemu dniowi z Nim.

Po aferze z obrusem ojciec drugi raz próbował popełnić samobójstwo. Wtedy jednak byłam za mała, żeby pamiętać pierwszą próbę, i dowiedziałam się o niej dopiero po latach. Słyszałyśmy, jak pomstował zamknięty w sypialni, widziałyśmy, jak doktor wchodził i wychodził ze zmartwioną miną. Podśluchiwałyśmy z Larą w korytarzu, ale dochodziły do nas tylko fragmenty rozmowy lekarza z mamą.

– Wziął za dużo leków i zmieszał je z whisky. Mało brakowało.

– Co to za leki? – zapytałam Larę.

Siostra położyła palec na ustach, pokazując mi, że mam być cicho, a potem zamknęła się ze mną w sypialni.

– Tatuś próbował się zabić.

– Co?

– Chciał umrzeć.

Niełatwo było mi to przetrwać. Musiało się stać coś naprawdę poważnego, jeśli ten człowiek tak krzyczał i złorzeczył ze swojego pokoju. Uchyliłyśmy drzwi i wróciłyśmy do podśluchiwania na korytarzu.

– Jest bardzo chory. Powinien się leczyć – mówił lekarz, kręcąc głową.

Tata krzyczał z pokoju, żeby się pieprzył, cholerny konował, i żeby spierdalał razem z tym swoim kumplem klechą. Mama i babcia wydmuchiwały czerwone nosy, z których mimo to ciągle kapło.

– To nie jest zły człowiek – klarowała lekarzowi babcia. – Jest tylko zmęczony i ma ten zacisk w głowie, który teraz puścił.

Nawijałam włosy na palec, wyobrażając sobie mózg w głowie ojca, ściśnięty przez ten czerwony zacisk; czerwony, bo tatuś był towarzyszem tych, których już nie ma, prawdziwych komunistów starej daty. Wyobrażałam sobie, że zacisk się rozluźnia i wydostają się kawałki szarej materii.

On nie mógł być temu winien. To musiał być ten przeklęty zacisk.